

Wydawało się, że dwie zasady nie budziły tutaj wątpliwości. Po pierwsze, że Kościół posoborowy (co nie znaczy wszyscy ludzie w Kościele) przyjął założenia państwa liberalnego, zwłaszcza w odniesieniu do wolności religijnej. To znaczy – wolności innych, nie samego Kościoła. I co więcej, przyjął je nie tylko na tej zasadzie, że dostosowuje się, tak jak dostosowywał się do rozmaitych ustrojów w ciągu swojej historii (po prostu „to jest”, więc trzeba żyć w tej sytuacji), ale również w tym sensie, i to jest o wiele ważniejsze, że szczególnie ważna sprawa, której Kościół chce służyć, sprawa godności jednostkowej, w liberalnym systemie ma największą szansę istnienia.

I druga zasada, że państwo liberalne nie ma bynajmniej pozbawiać Kościoła obecności publicznej. To znaczy, że zasada liberalna „religia jest sprawą prywatną” oznacza tylko, że nikt nie może być prawem państwowym przymuszany do wyznawania bądź niewyznawania jakiejś religii. Nie oznacza natomiast, że religia ma być zamknięta w pokoju, czy choćby w kościele, lecz że Kościół ma prawo do obecności publicznej i ma prawo wypowiadać się zarówno w sprawach, które niewątpliwie w jego kompetencjach leżą, to znaczy w sprawach natury moralnej, ale również w sprawach, gdzie nie ma takiej kompetencji, na przykład w kwestiach ekonomicznych. (...)

Liberalizm, wedle tego jak się sam określa, zakłada, że państwo liberalne nie dekretuje, co jest prawdą, i nie dekretuje, co jest złem albo dobrem. Państwo liberalne oczywiście nakłada kary za morderstwa, rabunki lub gwałty. Lecz karze takie czyny nie dlatego, że są grzechami, ale dlatego, że gdyby nie były karalne, to żaden ład zbiorowy nie byłby możliwy, a społeczeństwo pogrążyłoby się w chaosie, nieszczęściu i przemocy. Te czyny natomiast, które nie mają takich skutków, karane być nie muszą. A więc gwałt jest karalny w społeczeństwie liberalnym, homoseksualizm nie jest. Morderstwo jest karalne, próba samobójcza nie jest. Grzechy nie są karane jako grzechy, są karane czyny, których niekaranie doprowadziłoby do zagłady ładu publicznego. Ale to też jest zasada zbyt ogólnikowa. W pewnym bowiem sensie państwo liberalne dekretuje, co jest prawdą. Na przykład nie dopuściłoby do tego, żeby nauczyciele w szkołach uczyli, że Ziemia jest płaska. A więc zakłada taką prawdę. Z drugiej strony nie może nie dopuszczać do tego, żeby jacyś ludzie to właśnie twierdzili. W Ameryce istnieje Towarzystwo Płaskiej Ziemi, które głosi, że wszystkie rzekome dowody na to, że Ziemia ma kształt kulisty, są wynikiem jakiegoś złowrogiego spisku. Takie towarzystwo jest tolerowane, nikt nie zabrania jego działalności. W tym sensie prawo liberalne nie dekretuje, co jest prawdą.

Jednakże ludzkość potrzebuje wiary w to, że są kryteria prawdy i fałszu i są kryteria – niedowolne – dobra i zła. Chrześcijaństwo w naszej kulturze było miejscem, z którego te odróżnienia pochodziły. Chrześcijaństwo dawało ludziom bezpieczeństwo duchowe. (...)

Do początku XIX wieku liberalizm był postrzegany jako główny wróg Kościoła. To nie była jakaś omyłka, jakieś potknięcie, które potem zostało naprawione. To była sprawa niesłychanie ważna. I ona miała co najmniej kilka rozmaitych sensów.

Po pierwsze nikt, jak wiemy z historii, nie rezygnuje dobrowolnie z zakresu posiadanej władzy. Ale po wtóre Kościół, jako strażnik prawdy, miał szczególne powody, żeby liberalizm tępić. Sławna formuła świętego Cypriana, że poza Kościołem nie ma zbawienia, była przez wieki interpretowana w ten sposób, że nikt nie może być zbawiony, jeżeli nie jest regularnie ochrzczonym członkiem Kościoła. Co oczywiście skazywało na potępienie olbrzymią większość ludzkości. I skoro sprawą Kościoła jest sprawa zbawienia, używanie przymusu państwowego po to, by ułatwić ludziom drogę zbawienia, jest naturalne. W tej chwili, jak wiemy, interpretacja tej zasady jest inna. Nie ma ona znaczyć, że nikt nie może być zbawiony, jeśli nie jest regularnym członkiem Kościoła, lecz tylko że Kościół jest niezbędnym pośrednikiem w zbawieniu. To znaczy, że ci, którzy są zbawieni, są zbawieni dzięki pośrednictwu Kościoła, również wtedy, jeżeli do niego nie należą. Ta zmiana interpretacji owej sławnej formuły była bardzo ważna. Bez niej byłoby bardzo trudno Kościołowi wyjść z tej antyliberalnej mentalności. (...)

Pokusa jednak jest. Ja też bardzo nie lubię tego, żeby Kościół domagał się od państwa środków przymusu, które by kompensowały nieskuteczność lub małą skuteczność jego misji i kazań. Kościół oczywiście ma prawo głosić swoje przykazania moralne, takie jakie ma. Ma prawo nie tylko zakazywać przerywania ciąży. Ma prawo głosić, że używanie środków zapobiegających ciąży jest grzechem, że rozwody są niedopuszczalne i tak dalej. Z tego jednakże nie wynika, że jest uprawniony moralnie, aby żądać od państwa, żeby wszystkie takie sprawy załatwiał. Nie. Jedno nie wynika z drugiego. (...)

No więc żeby zakończyć, powiem tyle. Jestem po stronie tych, którzy nie chcą Kościoła rządzącego i wobec tego nieuchronnie podatnego na korupcję. Którzy nie chcą Kościoła, co chce zastraszać, grozić i przymuszać. Ale którzy chcą Kościoła uczącego ludzi, jak pojednać się z Bogiem, jak odnosić się do bliźnich, jak pogodzić się z nieuchronnymi porażkami życiowymi, nieszczęściami i przeciwnościami życia, których każdy jest ofiarą.

Polecenia:

1. Na podstawie tekstu Leszka Kołakowskiego przedstaw charakterystykę państwa liberalnego.
2. Wskaż przedstawiony w tekście zakres „dekretowania” prawdy, dobra i zła w państwie liberalnym.
3. Przedstaw i oceń stanowisko autora w kwestii miejsca i roli Kościoła w państwie liberalnym.
4. Przedstaw i oceń ukazany w tekście stosunek państwa do działalności Towarzystwa Płaskiej Ziemi.
5. Oceń tezę, że Kościół rządzący jest nieuchronnie podatny na korupcję.